

NASZA POWIEŚĆ

ROK XXIII

WARSZAWA, DNIA 4 LIPCA 1931 ROKU

NR. 27

ANDRZEJ STRUG

27)

OSTATNI FILM EVY EVARD

— Niech mi pan nie pozwala kłamać! Bardzo o to proszę. Ja nie jestem histeryczką, ani obłąkaną, jestem tylko bardzo nieszczęśliwą. Ratuje się jak mogę, ale przeważnie czynię to głupio. Zazwyczaj wierzę w moje urojenia i wówczas jest mi dobrze, nieraz przez długie tygodnie. Najgorzej gdy się we mnie ocknie rozsądek, właśnie jak teraz. Teraz naprawdę wiem, że jest wojna i to jest straszne. Wie pan dlaczego? Bo chociaż to wiem, to jednak nie wierzę, że to prawda, poprostu nie mieści mi się to w głowie. Jakto, tylko jakieś trzy miesiące dzieli nas od czwartego roku wojny? Panie Helm, pan to rozumie? Wiem, że wszyscy to rozumieją, nie, bo zrozumieć tego przecież niepodobna, cały świat raczej przywykł do wojny, stępsiał... A ja nie mogę.

— I ja nie zawsze się z tem godzę. Często miwam momenty zamęcenia, gdy zdrowy rozsądek buntuje się we mnie przeciwko oczywistości. Trudna to walka, trzeba ustąpić — biada temu, kto się uprze.

— Biada mnie nieszczęsnej... Ja się nie upieram, to moja głowa nie może podołać koszmarowi wojny. Fell to tylko troska najbardziej własna, najbliższa, ale nie jedyna, może nawet nie najważniejsza. Duszę mam zatrutą, a na to niema rady. Zapewne w tych czasach, takich jak ja jest mnóstwo i u nas i we wszystkich krajach walczących. Ja już jestem złamana, nie dźwignę się nigdy, choć nastanie pokój... Nawet gdyby się stał cud i Fell powrócił, nie zaznam spokoju i radości. Zastałby mnie inną, niezdolną do prawdziwego życia, chorą, chimeryczną, nie poznałby we mnie swojej dawnej Rity. Kto wie, może by mnie nawet przestał kochać? Rozmyślałam nad tem i bardzo się boję... A ja? Czy zdolna jeszcze jestem kochać? Stałam się żałobnicą, zatopioną we łzach i w żalu, kocham zmarłego, kocham przeszłość, ale gdyby on wstał z martwych, ożył?... Trzeba mieć w duszy dużo pogody, dużo prostoty, żeby podołać takiemu obrotowi losu. Gdy się raz pogrzebało kogoś drogiego. Powrót Fella byłby dla nas obojga straszną próbą... I powiem szczerze, że przychodzą godziny, gdy niemal pragnę, żeby zostało jak jest. Na nic nie mam już sił.

Na fortepianie stał wazon z pękiem rozkwitłych gałązek tarniny. Rita wskazała nań z bolesnym uśmiechem.

— Widzi pan? To jest cud wiosny... Przyszła nareszcie, oczekiwana, wyteśkniona, tak strasznie potrzebna zdrczonemu ludzkim sercom. Któż się nią nie cieszy? Żołnierze w okopach witają jej powrót, czołgają się narażając życie aż pod druty, żeby ze-

rwąć garść złotych kaczeńców, które wyrosły z ziemi śmierci, z błotnistych lejów po granatach... Radują się wszyscy, choć żaden nie wie, czy dla niego przetrwa wiosna cały ten dzień, czy bodaj jedną godzinę. Ociemniały inwalida wchłania jej tchnienie i wyciąga ramiona ku słońcu... A mnie dręczy i boli ta nowa cudna zieloność, i ciepło, i słońce, drażnią mnie otwarte okna, chciałabym się wrócić w głęboką zimę, zamknąć się w domu, niech będzie mróz, śnieg, wichur i długa noc... Skuliłabym się w sobie, trwałabym w nicości moich smutków... Niech na mnie nic nie woła z pól i lasów! Nie chcę! Nie chcę!

...Rok temu Fell był na swoim przedostatnim urlopie i właśnie jak zawsze niespodziewanie przysła wiosna. Cieszyło nas, zdumiewało nas wszystko, jakbyśmy po raz pierwszy w życiu oddychali zapachem obudzonej ziemi i oglądali rozkwitające drzewa. Odbywaliśmy dalekie wycieczki, bawiliśmy się jak puste dzieci, które nie zaznały żadnej troski. A za parę dni on wracał na morze i wiedziałam przecie, co to dla mnie znaczy... Mogłam jeszcze wówczas żyć chwilą, szaleć z radości, że z nim jestem, mniejsza o to, co będzie jutro...

Rita zamilkła, w jej twarzy wśród zamierających uśmiechów już przebijał się płacz. Drgały usta, głowa przechylała się coraz niżej... Nagle zerwała się, spojrzała ostro, dziko i zaśmiała się szyderczo.

— Wie pan, panie Helm? Zaczynam nienawidzieć wszystkich najdroższych moich wspomnień! Czemuż nie można zabić w sobie pamięci? Żal mi życia, od którego jestem odcięta, bierze mnie wstręt do mojej niedoli. Co za nuda w tych smutkach! Zapomnieć! Obudzić się ze snu, zadługo już mnie dręczą widma i upiory. Zbuntować się! Zadrwić sobie z ran i klęsk! Nie mam na to sił, a któż mi pomoże? Sama zostałam na świecie, a żadna kobieta nie da sobie rady sama. Cóż pocznę? Dzisiaj, może przez tę wiosnę, czuję inaczej, i we mnie budzi się żądza życia, wydiera się jak te kielki nowej trawy z pod ziemi; groza mnie bierze, gdy pomyślę, że dziś jeszcze, za godzinę wrócę do mego więziennego zaklepienia się w mroku i ponurości, a każda żywsza chwila, odczucie, nadzieja — wszystko to będzie udane, skłamane. Ludzie mówią, że jestem odziwna, że melancholjka rodzi we mnie przywidzenia; lekarze twierdzą, że jestem chora nerwowo. Mojemi dziwactwami, moją muzyką zwiode ojca, zwiode pana, ale sama siebie nie zdołam oszukać, nigdy nie zapamiętam się do tego stopnia, żeby bodaj na chwilę uwierzyć w moje chimery. To są gusła, które mi chcę odżegnać zły urok, ale ja sama w nie nie wierzę, one są

nieszczere, sztuczne. Przychodzą chwile, kiedy wstydę się tych kłamstw sama przed sobą, a to jest najgorszy wstyd, najbardziej poniżający. Przed samą sobą grać komedje? Śmieszne jest moje życie... Powiedziałam panu całą prawdę, niech się pan ze mnie śmieje, ja jakoś nie mogę... Choć zrzadka, zazwyczaj po nocy, gdy rozmyślam o sobie, napada mnie gwałtowny śmiech, którego nie umiem opanować, ale w tym śmiechu też niema nic szczerzego, to tylko nerwy, czysta histerja. Dużo trzeba siły na to, żeby zbuntować się przeciwko własnemu nieszczęściu, nawet wiem, jak by to wypadało zrobić, ale mnie biednej na to nie stać. Bo to byłoby podłe, brzydkie... Nie wiem czy słusznie pielęgnowanie cierpienia od wieków uchodzi wśród ludzi za piękne, opiewają to poeci, idealizują wieczną żalobę po zmarłych i przesiadywanie na cmentarzach. A jednak pomimo wojny świat jest piękny i życie ma swój urok, choćby gdy się patrzy na te świeżo rozkwitłe gałęzie, które zaglądają do nas przez okna... Wiosna niesie w sobie szaleństwo — skąd we mnie znikanej i zgębnionej zrodził się bunt przeciwko mojej niedoli? Chciałoby się ją zabić w sobie i raz na zawsze zapomnieć o tem, co było najdroższe. Ośmielam się pomyśleć, że gdybym zdołała zdeptać i splugawić to, co święte, wydarłabym się na wolność... Ale jak znienawidzić swoje ukochanie? Mścić się na niem za wszystko, co się wycierpiało? To trudniej, niż od kornej modlitwy przejść nagle do szyderstwa i bluźnienia Boga. To straszniej nawet, niż złamać wiarę ukochanemu i zdradzić...

VI.

„Bogowie Germanji” nie mieli szczęścia. Nie dość, że znakomity Hjalmar Buszke (bohaterski kapitan Hoffacker a zarazem iście germański i wagnerowski Wotan) siedział nadal w okupowanej Belgji, ale alarmował w listach, że go zabrano z Generał-Gubernatorstwa do koszar, wcielono do kadry i niewiele brakuje, żeby go nie wysłano na front. Dyrektor van Trothen robił co mógł, latał po wszystkich urzędach wojskowych i zamęczał wpływowe osobistości, w pierwszej linii generała Sittenfelda. Generał ze swej strony robił, co mógł, psuł i paraliżował te zabiegi na złość Evie, ażeby ją zatrzymać w Berlinie, gdyż doszły go wiadomości, że natychmiast po ukończeniu zdjęć w terenie zamierza wraz ze swym kniazem wyjechać do Rosji. Wśród tych kłopotów dyrektor Mundus Filmu pewnego dnia stał się sensacją Berlina, ni mniej ni więcej został aresztowany i osadzony w więzieniu wojskowym...

Cenzura wzbroniła gazetom domyślać się podstaw i uzasadnień tego niesłychanego skandalu, ale i tak wszyscy wiedzieli, że aresztowanie pozostaje w związku z wielką aferą szpiegowską. Liczni przyjaciele van Trothena ręczyli za niego honorem i całym majątkiem i nagabywali generała Sittenfelda, ale ten zawarł się w oficjalnem milczeniu i odrzucał wszelkie pośrednictwo nawet ze strony nasyłanych mu pięknych pań oraz wysoko postawionych osobistości. Sam był bodaj najmocniej wstrząśnięty tą sprawą.

Jakto? Więc centrala wywiadu francuskiego od trzech lat działała bliżej, niż pod jego bokiem? Więc kierował nią stary znajomy, niemal przyjaciel, ulubiony partner szachowy, z którym wypili tyle butelek reńskiego we wszelkich jego gatunkach?

Było to niepojęte i w najwyższym stopniu kom-

promitujące. Ambicja jego była dotknięta najbrutalniej, a stanowisko służbowe i cała wielka karjera wręcz zachwiane.

W śledztwie van Trothen odsłaniał rzeczy potworne i gdyby ten nędznik nie zdradził się samochcąc, w ostrym napadzie podrażnienia nerwowego, jego szatańska działalność trwałaby nadal bez żadnej przeszkody. Znalaziono u niego podejrzone rachunki i notatki, ale nic więcej. Aresztowany przyznał się odrazu do swojej zbrodni, ale narazie milczał o współnikach, o agentach i o całej organizacji szajki, zato rozprawiał z ochotą o metodach wywiadu, krytykując ostro doktryny i zwyczaje niemieckie i angielskie, a bardzo wysoko stawiał pod tym względem Francję. Van Trothen był zupełnie spokojny i na posiedzeniach z audytorem wojskowym zdradzał nawet coś w rodzaju humoru, przeplatając swoje zeznania anegdotami oraz chorobliwymi dygresjami, które wkraczały już w dziedzinę czystego absurdu. Było widoczne, że nie zdaje sobie sprawy z grozy swojego położenia. Generał narazie surowo zakazał wszelkich środków przyspieszających zeznania i podniecających w oskarżonym szczerość, tudzież pamięć. Był on w strasznym kłopotcie, co począć z tą sprawą i przeklinał godzinę, w której wydał rozkaz aresztowania. Uczynił to chyba w jakimś chwilowem zamęceniu...

Poniosła go namiętność, ta skandaliczna afera dawała mu jeszcze jedną i to bardzo mocną broń przeciwko Evie — wszak miał prawo wezwać ją do śledztwa i mógł ją wpłatać, a w ostateczności, gdyby jeszcze nie chciała zrozumieć, o co idzie — nawet aresztować. Złe się stało, trzeba było wyjechać. Agenci, śledzący van Trothena, zestawili wyczerpujące wykazy jego znajomości, wizyt, spotkań, ale w całym tym materiale nie było śladu czegośkolwiek podejrzanego. Jedynym oskarżycielem i jedynym oskarżonym w zbrodniczej sprawie van Trothena był on sam. Fakt nieznanym w dziejach kryminalistyki!

Generał zmagął się ze sobą. Prowadzić dalej śledztwo, czekać, aż van Trothen zacznie gadać nie tylko o sobie ale i o innych a gdyby zwłóczył, puścić w ruch wiadome metody policyjne? Im szersze kręgi ogarnie sprawa, tem gorzej odbije się ona na jego karierze, w opinii publicznej będzie nazawsze ośmieszony, dość powiedzieć — szef szpiegostwa francuskiego przyjacielem szefa niemieckiego kontrwywiadu... Trzeba się będzie podać do dymisji a bodaj że iść na front na podrzędne i tem bardziej niebezpieczne stanowisko... Wycofać się ze stosunków stolicy pod przymusem śmieszności... Klęska.

Na ratunek pośpieszył niezawodny kapitan Gutzner. Dyskretny, milczący, od paru dni już rzucał na generała pytające spojrzenia, które czekały jeno na zachętę ze strony szefa. Wówczas dopiero kapitan przemówił. Szef rozumiał się na tem, ale jeszcze się wstydził zdradzać z najtajemniejszą myślą. Wreszcie na czwarty dzień od aresztowania van Trothena, gdy sam minister zażądał raportu w tej sprawie, niepodobna było zwlekać dłużej.

— Gutzner, chciałbym znać pańskie zdanie.

— Słucham, panie generale?...

— Co my mamy robić z tem świństwem?

— Nic nie robić, panie generale. Sprawa jest jasna, jak słońce. Na mocy skrupulatnego badania protokołów zeznań van Trothena każdy lekarz wyda orzeczenie, że to warjat. Trzeba go jaknajprędzej wypuścić i już. Wszystko to śmiechu warte.

(D. c. n.).